

# MUSISZ TAM WRÓCIĆ

HISTORIA PRZYJAŹNI  
LUSI GELMONT  
I ZUZANNY GINCZANKI



MARIA STAUBER

MARGINESY

# MUSISZ TAM WRÓCIĆ

HISTORIA PRZYJAŹNI

LUSI GELMONT

I ZUZANNY GINCZANKI

MARIA STAUBER

MARGINESY

R Ó W N E  
1920–1936

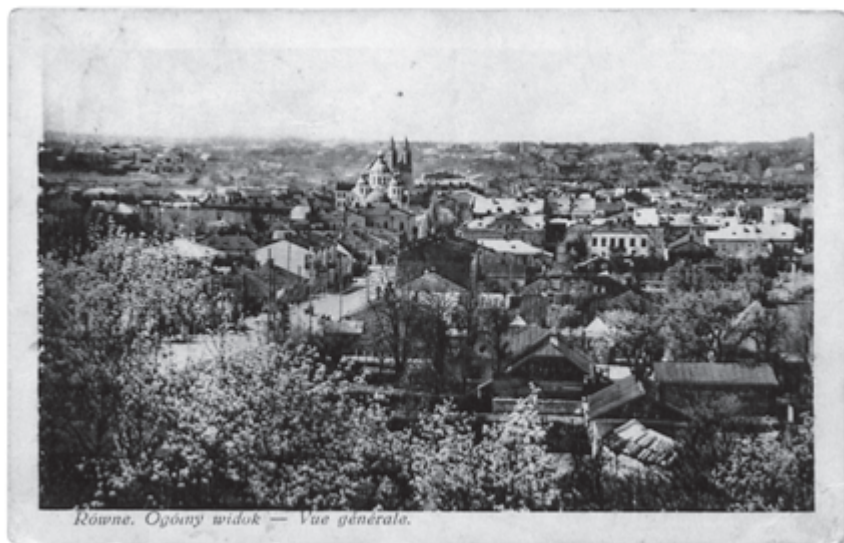
Staniesz, Lusi, pewnie zadziwiona, że to miejsce nadal istnieje, bo w twojej pamięci dawno go nie ma. Ludzie rodem z Równego mówili: „Tam nie ma po co jechać”, „Tam nic nie zostało”. My musimy tam stale wracać, jakby w tych kilku latach zamknął się nasz los, nie tylko twój – Szulamit, Lusi, Ludwiko, Ludmiło, obojętnie jak cię zwali, bo imię jest tylko imieniem, a ważna jesteś ty, tak ciągle pełna woli życia. Nawet jeśli nasz powrót jest tylko ruchem wyobraźni, jeśli płynie zaledwie lekkim obłokiem pomiędzy nami, przyrzekam ci, mam, że będziemy stąpać ostrożnie, na czubkach palców, omijać z daleka miny bólu, trzęsawiska niedopowiedzeń. Muszę tam wracać, przez te wszystkie lata nieustannie wygłodzona każdego szczegółu, odtworzyć wszystko, co miało już nigdy nie istnieć, co znikło w jednej chwili, i wypełnić białą plamę milczenia. Tak będzie lepiej.

Miasto Równe nie miało nigdy opinii szczególnie urodziwego, nie było się czym chwalić, domy były bezstylowe, zabudowa niedbała. Ten urbanistyczny nieład pozostał. Centrum miasta odbudowano w fantazyjnym stylu i w pastelowych kolorach. Wśród socjalistycznych blokowisk zachowały się wyrwane z czasu fragmenty dawnych uliczek i zaułków, nawet drewniane chaty z ogródkami. Stoją – mimo licznych bombardowań – poczta, sąd wojewódzki, kościół, który stracił co prawda dwie wieże, ale prezentuje się dostojnie, i wielka bulwiasta, pomalo-

COPYRIGHT © BY Maria Stauber, 2018

PUBLISHED BY ARRANGEMENT WITH  
Beata Stasińska Literary Agency

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018



Równe Wołyńskie w latach dwudziestych

wana na jaskrawą żółć cerkiew – prawosławny sobór. Ostał się nawet kadłubek synagogi na dawnej ulicy Szkolnej.

Widzę cię, Lusi, jak tam biegiesz z rozwianymi włosami, gdzieś się spieszysz. Może myślisz, że da się jeszcze zatrzymać czas, ulepić wszystko od nowa, inaczej. Może po to biegiesz, żeby ten czas od nowa przeżyć. Tak chciałabyś, żeby wszystko potoczyło się jeszcze raz, inaczej, od początku. Potem stajesz nagle jak wryta na samym środku ulicy, która zwała się kiedyś ulicą Główną, następnie 3 Maja, a teraz jest to Soborna. Ulica przechodzi z północy na południe przez całe miasto, widzisz z daleka Grabnik z eleganckimi domami, widzisz wejście do parku Lubomirskich, pełnego teraz żółtych, jesiennych liści, bramę Targów Wołyńskich, która nierozmontowana stoi tu jeszcze od lata. Idziesz coraz szybciej. Aleja 3 Maja spływa w dół do mostu nad płytką rzeką Uście, mijają robotniczą Wolę, boiska piłki nożnej „Hallerczyk” i „Sokół”, ciągnie się aż do koszar. Tu mieszkacie, jak ci wszyscy, którzy skądś przybyli, skądś uciekli, każdy inny: Polak, Żyd, Niemiec, Rusin, Czech, Ormianin. Tu mówicie w różnych językach, piszecie alfabetem łacińskim, bukwami, literą hebrajską i w tej różności wszelakiej, która zgrupowała się na kilku hektarach miasteczka Równe po okropnych wojennych czasach i pogromach, żyjecie sobie całkiem spokojnie.

Widzę, jak twój tata, Łazarz, prowadzi cię teraz za rękę. Masz wielką, bordową kokardę we włosach i welurową bluzkę z wyhaftowanym przez starszą siostrę kołnierzykiem. Macie zwiedzić Targi Wołyńskie. Zaraz za pierwszymi drewnianymi pawilonami tata pokazuje ci wysoką, biało-czerwoną jak wasza flaga, morską latarnię. Morze jest stąd bardzo daleko i dzieci nie wiedzą, co to jest latarnia morska, dlatego tata ci wszystko objaśnia. On widział takie latarnie w Odessie nad Morzem

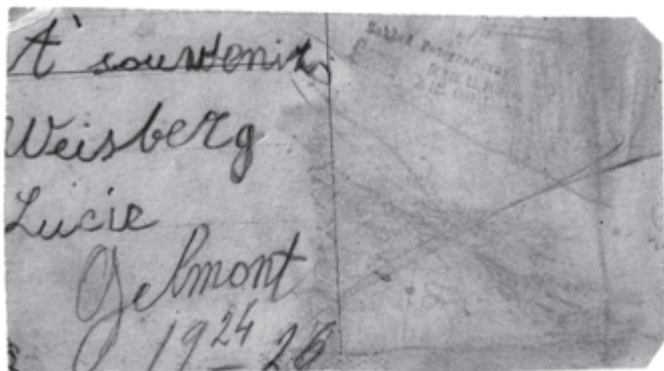


Plan miasta Równe

Czarnym. Na Targach Wołyńskich wrze handel, sprzedaje się tu wyroby rolne, owoce płodnych czarnoziemów, zboża, nasiona, chmiel, tytoń, konopie, owoce, bo Wołyń jest teraz spichlerzem Polski. Najzabawniejsze dla ciebie są żywe konie i gdakające kury, ryby i raki z pobliskich stawów. Próbujecie tam pysznych owocowych kompotów, dżemów z jagód, przymierzacie dla zabawy wielkie kożuchy, dobre na mroźne wołyńskie zimy. Na targi zjeżdżają się do was handlowcy z całej Polski: z Krakowa, ze Lwowa, nawet ze stolicy, Warszawy – i odsprzedają Wołyniowi towary przemysłowe: nawozy, narzędzia, maszyny, samochody, motocykle, aparaty fotograficzne, ubrania, książki i czasopisma. Tata waha się, czy kupić sobie narty produkowane w pobliskim Krzemieńcu. Przydałyby się, żeby zimą przemierzać lasy, kiedy jedzie do dworu księcia Giedroycia. A może raketę tenisową? Zawsze marzył, by grać w tenisa, a nie było czasu na takie rozrywki. Jeszcze bardzo długo ogląda nowoczesne piły do cięcia drzew. To był cudowny dzień, bo tata kupił dla ciebie rower i będziesz odtąd na nim przemierzać miasteczko Równe i jego okolice, pełne łąnów zboża, brzozywych lasków, aż do stawu w Basowym Kącie. Tam w pobliskiej rzece nauczysz się pływać.

Kiedy wracacie, twoja mama, Bluma, wyciąga w twoim kierunku kościany grzebyczek: „Uczesz się, błagam. Wyglądasz jak rozczochrana chalucka. Jak te zaniedbane pionierki, *chaluces*, które wybierają się do Palestyny”.

Do Palestyny, przyszelej ojczyzny, a teraz uczą się płodozmiannu, zasiewu i pielęgnacji drzew, bo tam będą wkrótce sadzić pomarańczowe gaje – *pardes*, osuszać bagna, zakładać nowe kibuce i budować na wydmach nadmorskie, modernistyczne miasto Tel Awiw. Po córkach Blumy nie widać, że są Żydówkami.



Lusia Gelmont jako Cyganczka.  
Na odwrocie tekst po francusku do cioci w Palestynie

W zakładzie fotograficznym mama sfotografowała cię, Lusieńko, dziewczynko z bardzo ciemnymi oczyma, jako małą Cyganczkę w białych skarpetach i chustce z frędzlami, zawadiacko umieszczonej na główce. A na odwrocie ty kulfonami, ale za to po francusku, bo posłano cię do francuskiego przedszkola, które prowadziła madame Sauvage i gdzie chodziła z tobą koleżanka Zuzanna Gincburg, też z Kijowa, napisałaś do cioci Weisberg, siostry ojca w Palestynie: *A Souvenir Weisberg – Lucie Gelmont, 1924.*

Twoja mama Bluma nie lubiła Równego, według niej prawdziwego grajdołka. Stale tęskniła za swoim Kijowem, szeroko rozlanym Dnieprem, za błyszczącymi w słońcu kopułami Ławry Peczerskiej i Soboru Sofijskiego. Zatrzymaliście się w Równem przypadkiem i odtąd przypadek zawsze już będzie rządził twoim życiem, Lusi Gelmont. Magnetyczna igła przypadku, która się chybotrze przez moment, aż wreszcie ustawia niespodziewanie na jakimś miejscu, na spotkanym przypadkowo człowieku. Nigdy nie podawałaś w wątpliwość słuszności tych wyborów, przypadku czy przeznaczenia. Uważałaś, że skoro tak się dzieje, to tak miało być, tak jest najlepiej i za tym trzeba iść. Nie oznaczało to wcale braku woli czy chęci do działania, więc nawet jeśli Bluma, twoja matka, sto razy powtarzała, że nie znosi tego miasta, ty w końcu nic nie miałaś przeciwko, może przeczuwałaś już, że stąd wyjedziesz, że los kolejnym powiewem silnego wiatru przeniesie cię jeszcze gdzieś dalej. I tu po prostu masz żyć jeszcze kilka lat.

W Kijowie na Bolszaj Wasylkowskiej, w Rosji, inaczej się żyło – wspominała stale twoja mama, Chaja Bluma. „Chaja jak życie – mawiasz – albo Bluma jak kwiat”. Ponoć jak kwiat była piękna, najpiękniejsza z całej rodziny.



Lusia we francuskim przedszkolu w Równem

U nich w Kijowie woda w samowarze kipiała cały dzień, nalewano ostrożnie herbatę do ozdobionych różą miśnieńskich filiżanek, podawano cukier w srebrnej cukiernicy, do tego na talerzyku trochę konfitur z rajskich jabłuszek. W szabat przychodziła cała rodzina. Na biedermeierowskim stole ustawiano się świeczniki, talerze i wazę na zupełną, wyjmowało z pilśniowych pokrowców starannie przechowywane srebrne sztuce z rodzinnymi monogramami. Nestorka rodu, w wielkim kapeluszu, gruba babcia Róża Tarnopolska, laseczką z kości słoniowej uderzała zdecydowanie o podłogę, bo miało być zawsze tak, jak ona zarządziła.

Słuchał się jej mąż – Gersz Tarnopolski, ich dzieci – Sonia i Fiedia, uczeń kijowskiego gimnazjum, w pięknym mundurku, i najstarsza – Bluma Grigoriewna, twoja mama, już mężatka z dziećmi – Manią i Grigorim, czyli Bezikiem, nazwanym tak przez swoją mamkę, bo w waszej rodzinie to mamki karmiły niemowlęta. Ty, Lusi, urodziłaś się rok po śmierci twojej szesnastoletniej siostry, Zinajdy, która umarła na zapalenie opon mózgowych. Nadano ci imię ukochanej króla Salomona – Sulamit, o której mówił w biblijnej Pieśni nad Pieśniami: „Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma w tobie skazy”. Ciebie, Sulamito Łazariewna, wołano zawsze – Lusja, Lusieńka, Lusia.

Za bolszewików życie w Kijowie zrobiło się straszne; terror i głód, prześladowania. Władza radziecka zabrała ojcu tartaki, znacjonalizowała jego lasy. Ojciec twój, Łazarz Gelmont, zamożny człowiek, przemysłowiec, dłużej w sowieckim kraju nie mógł działać i decyzja zapadła: trzeba z Kijowa uciekać. Jego brat i siostra z Palestyny namawiali na przyjazd do Holonu czy do Rechowotu. Pisali, że pomogą, ale ojciec nie chciał o tym słyszeć, listy oddawał Bezikowi, który – zadowolony – wklejał



Rodzina Lusi w Kijowie – babcia Róża Tarnopolska  
z synem Fiedią i córka Sonią

do albumu znaczki z wielką kopułą meczetu Omara i nadrukiem *Palestine*.

Twoi rodzice, Lusi, zdecydowali się w końcu, że pojedą do Polski. Reszta rodziny nie chciała o *Polszy* słyszeć, wołała już zostać w sowieckim Kijowie. Twój ojciec wyruszył pierwszy, a po paru miesiącach i wy z przewoźnikiem nielegalnie przekroczyliście granicę. Z tej podróży zapamiętałaś, Lusieńko, ukraińskiego chłopca, który do drugiego krzyczał: „Oddaj mi *miju sokiru!*”. Chciał iść z tą siekierą na strych, gdzie leżeliście. Wtedy twoja energiczna mama wyciągnęła zza stanika złotą monetę i chłop od razu się uspokoił.

Mieliście jechać dalej do wojewódzkiego Lwowa, bo Bluma chciała mieszkać bezwarunkowo w dużym mieście, ale po drodze, w pierwszym miasteczku tuż za granicą, w Równem, i pierwszej nocy, w hotelu San Remo, zatruliście się dymem z nieszczelnego pieca. Nazajutrz na ulicy mama spotkała niespodziewanie burmistrza Równego, którego znała jeszcze z Kijowa. Razem z nim w Komitecie Rewolucyjnym sprzedawała mąkę i cukier. „Madame Belmont, co pani tu robi?” – zdziwił się burmistrz.

To on załatwił waszej rodzinie papiery – piękne nansenowskie białe paszporty, dla takich jak wy, uciekinierów, bezpaństwowców, apatrydów, paszporty, które wymyślił badacz polarny (może dlatego były białe), Norweg Fridtjof Nansen, potem komisarz Ligi Narodów, który w 1922 roku dostał Pokojową Nagrodę Nobla.

W Równem wynajęliście obszerne mieszkanie przy Piłsudskiego 17. Bluma, która nienawidziła Sowietów, bardzo kochała Rosję, ten wielki kraj, jak mówiła, i z przejęciem czytała rosyjską literaturę. Po polsku nigdy się nie nauczyła, za dużo tam było tych wszystkich „brzdzi” i „przci”, nie miała odwagi ani





Bluma Gelmont, matka Lusi

chęci uczyć się nowego języka, choć pan Rozensal stale zapraszał wszystkich, co przyjechali z Rosji, a dużo ich było, na swój bezpłatny kurs języka polskiego. Bluma kwitowała to krótko: „Gogola i Dostojewskiego oni nie mieli”, i do ciebie, Lusieńko, mówiła tylko po rosyjsku, tak że nauczyłaś się i ty tego języka.

Ojciec wynajął tartaki, obrabiał drewno różnych gatunków, które zwożono z okolicznych lasów księcia Giedroycia. W strefie przygranicznej Żydom nie wolno było posiadać lasów. Ojciec z Giedroyciem bardzo się zaprzyjaźnił, a twojej mamie Blumie to się wcale nie podobało. Denerwowała się, że ten Giedroyc uczy ojca gojowskich sztuczek: gry w karty i picia. „To wina kniazia Giedroycia” – krzyczała, kiedy tatę wynieśli z dorożki.

Zapamiętałaś, jak ojciec jeszcze rzucił kapeluszem o ziemię. Potem wnieśli go do pokoju, położyli na stole w kuchni, gdzie zmarł. Łazarz Gelmont miał czterdzieści dziewięć lat. Wylew czy zawał serca? Książ Giedroyc po śmierci ojca bardzo wam pomagał, pomogli też drwale, którzy dla madame Gelmont urządzili skład opałowy na głównym placu Równego. Blumie udawało się zarobić w ten sposób trochę grosza. Mogła wam, dzieciom, które bezgranicznie kochała, zapewnić godne życie i dalszą naukę. Chodziła często sama na żydowski cmentarz w górze miasta, gdzie Łazarz był pochowany, i strasznie płakała.

W Równem zakładano teraz wszędzie elektryczność. Uczyli was w szkole, że trzeba iść z postępem; jasno oświetlać mieszkania, bo brak światła psuje wzrok, utrudnia odrabianie lekcji, że człowiek nowoczesny gotuje teraz bez ognia – czysto, szybko i tanio. U was, a przeprowadziliście się do małego, ciasnego mieszkania w zaułku, przy Korolenki 7, nie było prądu, grzało się drzewem albo koksem, zamiast podłogi było klepisko. Mania miała tam swój pokój, ty spałaś czasem nawet na stole. Kiedy Bluma zmęczona wracała do domu, w pierwszej kolej-



Łazarz Gelmont, ojciec Lusi

ności pilnowała, by dzieci były nakarmione. Miałyście po jednym płaszczu i bardzo niewygodne, tanie, twarde buty, do dziś masz stopy od nich zniszczone. Do późna wieczorem dudniła maszyna do szycia firmy Malimona, na korbkę, oświetlona lampą naftową, bo mama szyla wam sukienki. Szybko mijał jej pracowity dzień i dopiero pod wieczór Bluma, otulona czarną wełnianą chustą, zasiadała w głębokim fotelu przy białym kaflowym piecu.

Mimo tych ciężkich warunków, nieustannego braku pieniędzy, Bluma zawsze powtarzała: „My nie mamy prawa się skarżyć, my nie możemy narzekać. My mamy przecież takie ładne gospodarstwo”.

Chciała, żeby w domu było zawsze pogodnie, nie należała do gatunku wiecznie skwaszonych *kysłyczek*, miała swoje małe radości, swoje *naches*, i potrafiła cieszyć się z nich każdego dnia. Ty też lubisz teraz, Lusi, powtarzać, że masz swoje *naches*, i pytasz mnie, czy to słowo rozumiem. Tak, oczywiście, teraz to słowo rozumiem. Teraz, bo kiedyś słów żydowskich nie używałaś. Więcej ci powiem. Ja też potrafię jak babcia Bluma cieszyć się z rzeczy małych, chwilowych, zrozumiaławszy dopiero po wielu latach poszukiwań, że w nich ukrywa się prawdziwe szczęście.

Bluma była osobą niesłychanej dobroci, gościnną, pełną rosyjskiej szczodrości. Każdy, kto przekroczył próg waszego domu, zawsze był nakarmiony: sąsiadki, wasi koledzy i koleżanki, drwale Łazarza. Były naleśniki albo jabłka w cieście, sałatka z kartofli, kiszzonego ogórka, jajka i resztek mięsa rosółowego – przepis Blumy. Zupa gotowała się cały dzień na kuchni, najlepsza ta grzybowa, z ususzonych grzybów z jesiennego grzybobrania. Do pieca wstawiała garnek z mięsem i jarzynami i mówiła: *Bud' żarkoje. Bud' bulion*. Na deser kupowała od

Ukrainek poziomki na zielonym liściu. Twoja siostra Mania zaś przygotowywała torty i sałatki, jej specjalnością była sałatka jarzynowa z zielonym groszkiem Olivier, którą kiedyś tak długo próbowała, mieszając w misce, aż się strasznie zakrztusiła. „Wpadło w żydowską uliczkę”. Jak to goje w Równem mawiali.

Pamiętasz jeszcze wrzesień, miesiąc przetworów, sałatkę z cebulą w zalewie, kiszzone pomidory, małosolne ogórki z koprem, pamiętasz bzyk natrętnych os, krążących wokół konfitur z zielonych pomidorów z orzechami, które przygotowywała na zimę. Pamiętasz tłuczenie młotkiem świeżych orzechów o zielonkawej skórce i wywlekanie ich białego jądra.

Kiedy ktoś z was zachorował na chorobę zakaźną, na odrę na przykład, Bluma kładła wszystkich do jednego pokoju, zasłaniała firanki, żeby od razu wszyscy przez to przeszli. W Równem byli doktorzy: ogólny Finkelsztejn, stomatolog doktor Feifel, internista doktor Natanson. Ale was nie stać było na opłacenie lekarza. Jak ktoś zachorował, to za osiemdziesiąt groszy wołało się felczera, był tańszy. Mosiejczuk się nazywał, bardzo mądry facet. Był z tobą w szkole Paweł Segał, jego ojciec Borys Segał był chirurgiem, i u nich w gabinecie przy Zaułku Poczтовым 7 stał nawet telefon, a mało było wtedy telefonów. Potem w czasie wojny Niemcy zastrzelili ojca Pawła w trakcie operacji.

Bluma, choć zbyt religijna nie była, przestrzegała święt zgodnie z kalendarzem żydowskim. Pościła też za was, dzieci. Najważniejsze było dla niej żyć zgodnie ze swoim sumieniem i porządkiem boskim, nikomu nigdy nie czyniąc krzywdy. Uczyła was, że nie należy kłamać, oszukiwać, że ludzi trzeba traktować z szacunkiem, z dobrocią, bez agresji, nie wywyższać się, nie krytykować. Wtedy i wasze towarzystwo będzie im miłe. Być hojnym, być dobrym, obdzielić biedniejszego, wtedy nic złego stać się nie może. Tak myślała. W wejściu u was stała



Zinajda i Maria Gelmontówny, siostry Lusi

metalowa puszka z napisem *Eretz Israel*, do której wrzucało się monety na rodzące się żydowskie państwo.

– Ty bądź lepsza dla kogoś niż on dla ciebie. Dobrze na tym wyjdiesz.

– Ach, mammo, mammo, naiwna jesteś – machała ręką Mania.  
– Stale to mówisz, ale czy tak jest naprawdę?

Twoja starsza siostra Mania była mistrzynią robótek ręcznych, szyła piękne sukienki, ale najchętniej haftowała w ukraińskie wzory poduszki i serwetki, które sprzedawała na targu. Na stoliku w swoim pokoju położyła zielony, aksamitny obrus, ten sam, w którym ciebie, Lusu, przeszmurowano przez granicę. Na nim stał ćmielowski półmisek, lusterko i porcelanowa figurka: Pers trzymał nagą kobietę. Mania miała świetny gust, ustawiała w coraz to nowe konstelacje wasze dzbanki, misy, kieliszki, podwieszała w oknie kwiaty w doniczkach. To ją cieszyło i wasze mieszkanie, mimo że bardzo skromne, było ładnie urządzone. Na koniec pastowała podłogę czerwoną pastą i mówiła do ciebie, młodszej siostry: „Jak pobrudzisz, Luśka, to ci stłukę tyłek”.

Mania lekko kulała i nosiła specjalny but na nieco krótszą nogę. Mówiono, że przeszła chorobę polio albo że wyleciała z drugiego piętra w Kijowie, kiedy mieszkali jeszcze na Fundulejowskiej. Dokładnie nie pamiętasz. Została jej szrama na czole. Była piękną kobietą o powłóczystym spojrzeniu, zadartym nosku, ze szparą między zębami. Mężczyźni za nią szaleli i na ulicy każdy się za nią oglądał. Oświadczył się jej kapitan 44. Pułku Strzelców Kresowych, ale Blumie nie przypadł on do gustu. Stale przychodził też do niej czeski artysta malarz, Kuriato. *Artist pagariełowo tieatra* – mówiono o nim u Gelmontów. Mania zakładała na bakier modny berecik i razem wychodzili do kawiarni Eduarda. Kiedy trzaskały drzwi wejściowe, Bluma

podśpiewywała: *Di libe brent wi a nase szmate*, „Miłość płonie jak mokra szmata”. Albo jej ulubione: „Co jest najgłupsze?” – *A sztik flajsz mit ojgn* – „Kawałek mięsa z oczami”. „Cóż – wzdychała – mojej Mani w głowie tylko miłość, miłość, *lubow, lubow*. Czerwone serca to dobre do gry w karty” – mówiła jak doświadczony życiem kobiety z Równego.

Wiadomo, matki mają zawsze rację, i wkrótce zdarzyło się to, co nie powinno się było zdarzyć. Osiemnastoletnia Mania zaszała w ciążę z ryżym blondynem z Rosji, cztery lata starszym od niej Abraszą Himelfondem. Przyjechał za nią z Kijowa, strasznie był zakochany. Odbył się pospieszny ślub pod chupą, celebrowany przez sąsiada rabina. „Co to za *Mensch*, to nie człowiek dla niej” – Bluma nie mogła się pogodzić z wyborem córki.

Co prawda, Abrasza miał za sobą ponoć dwa lata uniwersytetu w Kijowie, ale w Polsce nie mógł pracować, bo nie miał prawa pobytu, więc sprzedawał w zielonym pudełku śliwki w czekoladzie. „*Meszugener kop*. Jakiś wariat. *Paskudniak*. A to ma być przyszłość dla mojej ukochanej, pięknej córki?” – rozpaczała Bluma.

Mania urodziła malutką, siedmiomiesięczną dziewczynkę, której dano nazwisko matki Gelmont, a na imię Cecylka, czyli w zdrobnieniu Ilka. Mania nie miała pokarmu i karmiła ją piersią ukraińska mamka, Charytyna Omelczuk, zwana Omelczuczką.

„*Abi gezunt*. Obyś była przede wszystkim zdrowa, *majn klein kecele*, koteczku mój” – Bluma ścisnęła Ilkę w ramionach jak własne dziecko.

Ilusia, tylko sześć lat młodsza od ciebie siostrzenica, stała się twoją małą siostrzyczką, lalczką do zabawy, i nuciłaś tak jak mamka Charasia: *Spij, Ilusja, spij, Ilusja malenkaja maja*.

Wyjątkowe, spisane przez Marię Stauber literackie wspomnienia o młodzięcej przyjaźni Lusi Gelmont i Zuzanny Ginczanki – poetki, satyryczki z kręgu Skamandra i „Szpilek”, o której mówili, że jest lepsza od Tuwima. Przyjaźniła się z największymi poetami dwudziestolecia. Zginęła z rąk gestapo po donosie sąsiadów w wieku 27 lat.

Obie były kobietami wyzwolonymi. Obie łamały stereotypy, obie były zbuntowane i pełne radości. Obu przyszło żyć w strasznych czasach.

Wyjątkowość *Musisz tam wrócić* polega nie tylko na formie, ale przede wszystkim na doskonałym opisie przedwojennej wielokulturowej Polski, zderzonej z okrucieństwem wojny. Temu wszystkiemu przeciwstawiona jest niesłychana afirmacja życia, siły i w końcu ocalańcza moc poczucia humoru i otwartości na świat.

MARIA STAUBER urodziła się w Warszawie i studiowała na ASP. We Francji, dokąd wyjechała w 1973 roku, wykonywała zawód architekta wnętrz. Jako pisarka debiutowała opowiadaniem w „Czasie Kultury” i „Literaturze”. W 2001 roku wydała przychylnie przyjęty zbiór opowiadań *Z daleka i z bliska*, a trzy lata później – wraz z synem Marcinem Latałło – *Portret niedokończony*, opowieść o swoim mężu, operatorze Stanisławie Latałło, który zginął w Himalajach. Przez kilka lat była stałą korespondentką „Zeszytów Literackich”, w których pisała o paryskich wystawach. Przetłumaczyła z francuskiego sztukę Christiana Siméona o Misi Godebskiej *Misia albo Venus z falkozerem. Portret potwora w reliefie*.

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788365 973535

cena 44,90 zł

w sprzedaży także

